

Los Angeles, 28 czerwca 1981 roku, niedziela

Strumień wody na spocony kark. Jest pełnia lata. Jest pięknie.

Przed południem w Santa Monica z dziewczynkami, godzina beztroskiego spaceru.

Małgosia uparcie ćwiczyła niespadanie z roweru, Karolina biegała za piłką.

Gdyby nie wyjazd zabrałbym je na basen. Potem zjedlibyśmy obiad gdzieś pod miastem. Może w knajpce Benihana of Tokyo w Marina del Rey? Dziewczynki piszczałyby z uciechy, patrząc na popisy japońskiego kucharza.

A potem, wieczorem, nim niedziela zamieni się w poniedziałek, poszukałbym na ciele Basi cienia tych wszystkich chwil, które spędziliśmy osobno. Może nawet znalazłbym w jej oczach i ustach rozgrzeszenie.

Strumień wody na głowę. Chłodny.

Zimny prysznic.

Nic z tego nie będzie. Nie dzisiaj. Za dwie godziny mam samolot do Chicago i zobaczymy się dopiero za tydzień. Ale wtedy czeka nas przeprowadzka, bo od dwóch tygodni z Los Angeles łączy mnie tylko nieprzeniesiony dom. Odkąd awansowałem na głównego szefa Polamco, pracuję w Chicago. Remont domu, który dla nas wyszukałem, kończy się i za tydzień możemy się wprowadzać.

Znam swoją pracę i znam siebie. Pierwsze miesiące upłyną w rytmie dwunastogodzinnego dnia pracy. Dziewczynki będą

widował rano, a potem całował śpiące w czoło. Basia zmęczona całodzienną opieką nad domem i nimi, nieraz zaśnie, nim zdąży wrócić. Są jednak awanse, których się nie odrzuca.

Mam dwadzieścia dziewięć lat i jestem najmłodszym prezesem w historii firmy. Gdy zostałem mianowany i delegowany do Chicago, niektórym starszym pracownikom to się nie spodobało. Jeden nawet poprosił o przeniesienie do Polski. Słusznie, tam żaden gówniarz nie będzie nim kierował. Moja kariera w Stanach jest całkowicie amerykańska: niecałe sześć lat. Najpierw jestem zwykłym pracownikiem, potem zostaję szefem sprzedaży na całe Zachodnie Wybrzeże, po krótkim czasie okazuje się, że robię osiemdziesiąt procent obrotu firmy. Awans na wicedyrektora Polamco, a teraz zostałem szefem centrali. Zostawiam w Los Angeles świetnie prosperujący oddział, w Chicago czeka na mnie zarządzanie całą firmą. Jasne, że mam żyłkę sportowca.

Zakręcą wodę. Ręcznik.

Myślę sobie: „Tydzień, dwa i wszystko się poukłada. Basia zajmie się urządzeniem nowego domu, dziewczynki poszukają koleżanek. Nie będę pracował w weekendy. Tylko rodzina. Zwiedzimy okolice, będziemy razem”.

Mam godzinę i dwadzieścia minut do odlotu. Straciłem poczucie czasu pod prysznicem.

Jeszcze kilka drobiazgów do torby. Od dwóch tygodni żyję na walizkach, a moja rodzina niemal w kartonach. Basia spakowała już większość rzeczy. Dziewczynki kłócą się o coś w swoim pokoju. Kalisia jest młodsza i nieustępliwa jak każda przyzwoita trzylatka. Z kuchni dobiega dźwięk talerzy, więc Basia przygotowała lunch. Mam spodnie, nie mogę znaleźć koszuli. W tę, którą miałem rano na spacerze, dziewczynki wytarły buzie kolorowe od lodów. Moja żona w niebieskiej sukience, widzę ją, jak wspina się na palce, by sięgnąć talerze z wyższej półki. Ma nieobecny, rozkojarzony wzrok. Jestem w nieustającej podróży, odkąd się znamy. Nigdy się nie przyzwyczyła. Pytanie o koszulę tylko ją rozdrażni, szukam sam.

Jest „Mam farta” — myślę, wyciągając ją z płaskiego kartonu i burząc przy okazji symetryczny ład poukładanych ubrań.

Nie potrafię ich wsunąć tak, jak były. Upycham, może Basia nie zauważy.

Mam godzinę i piętnaście minut.

Może nie będę jadł? Zamiast tego usiądziemy z Basią i napijemy się kawy. Pocałuję ją w kark, jest taka ładna w tej sukience i w tym przedwyjazdowym smutku. Nie, gotowała cały poranek, wścieknie się, jeśli odmówię.

Pukanie do drzwi.

Zastygam.

— Otwarte! — krzyczy Basia w stronę drzwi i w jej głosie mógłbym usłyszeć spokój, że to sąsiadka, albo mały Sean chce wyciągnąć Małgosię na plac zabaw.

Mógłbym, gdyby nie błyskawiczny strumień skojarzeń, który połączył ostatnie miesiące i dni z godzinami dzisiejszego przedpołudnia. Strumień, który nie był pytaniem. Był pewnością.

Patrzę na Basię otwierającą drzwi, zdziwioną widokiem „Chińczyka”. Już odwraca się do mnie, jakby chciała zapytać, ale Special Agent Tom Moon Eng Linn nie wchodzi. Stoi w progu, wyciągając przed siebie legitymację FBI. Patrzy mi w oczy i mówi:

— Marian, jesteś aresztowany pod zarzutem złamania tytułu 18 paragraf 794 kodeksu karnego Stanów Zjednoczonych.

Nie spuszcza oczu, nie odwracam głowy, odpowiadam:

— Proszę o kontakt z polskim konsulem generalnym w Chicago.

Basia blednie i pyta „Chińczyka”:

— Pod zarzutem?... Czego?

— Szpiegostwa — odpowiada Tom Moon Eng Linn, nie patrząc na nią, i przekracza próg mojego domu.

Zza jego pleców dosłownie wylewa się grupa uzbrojonych agentów. Wbiegają do mieszkania z odbezpieczoną bronią. Trzy, cztery, pięć... Po co ja ich liczę? Jakie to ma znaczenie? Nas jest dwoje — Basia i ja, i nasze dwie córeczki. Ich piętnastu, razem z „Chińczykiem” — SA Linnem. Poznają jeszcze jednego: SA McCarthy. Niedobrze. Rozbiegają się po całym

mieszkanii. Dwóch jednym susem łąduje za mną, odgradzając mnie od otwartych drzwi balkonowych (Naprawdę myśleli, że będę skakać? Nie przyszło mi to do głowy). Zaglądają wszędzie — łazienka, sypialnia, krzyk: wbiegli do pokoju dziewczynek. Kurwa mać! Z odbezpieczoną bronią?! Do dzieci?! Pieprzony „kompleks Johna Wayne’a”! Czterech jest przy mnie, pozostali biegają, wymachując bronią. Dobra, pozwalają Basi pójść do dziewczynek. Wśród agentów są dwie kobiety, jedna towarzyszy mojej żonie i wraz z dwójką innych zostaje tam, w pokoju, razem z nimi, przy otwartych drzwiach — słyszę już, jak Basia uspokaja dziewczynki. Druga kobieta jest w tej czwórce, która pilnuje mnie osobiście. To tłumaczka. Podobno mówi po polsku. Chwała Bogu, że znamy angielski! Pozostali zaczynają systematyczne przeszukiwanie domu. Z niepokojem śledzę każdy ruch McCarthy’ego. Niestety, w pewnym sensie się znamy i to z najgorszej strony. Mamy ze sobą na pieńku. Według mnie to człowiek nieopanowany. Dobra, wariat wymachujący bronią. Nie chcę, żeby zbliżał się do dzieci. Proszę o to „Chińczyka”, on uspokajająco kiwa głową i kończy procedurę aresztowania:

— Ma pan prawo milczeć, cokolwiek pan powie, zostanie użyte przeciwko panu w sądzie.

Teraz to „pan”, bo czyta formułkę z kartki, wcześniej się nie krępował, byliśmy przecież po imieniu.

— Ma pan prawo rozmawiać z adwokatem, aby zasięgnąć porady przed przesłuchaniem, ma pan prawo być przesłuchiwany w obecności adwokata, jeśli nie stać pana na adwokata, przydzielimy go z urzędu, jeśli zdecyduje się pan odpowiadać na pytania bez obecności adwokata, przysługuje panu prawo zrezygnowania z odpowiedzi do czasu rozmowy z adwokatem — recytuje jednym tchem.

Dalej zwyczajowo: że przeczytałem oświadczenie, że rozumiem, że nie działałam pod żadnym przymusem (piętnastu uzbrojonych agentów to, rzecz jasna, jeszcze nie przymus), że nie potrzebuję adwokata i zgadzam się teraz złożyć zeznania. I miejsce na podpis.

Odmawiam podpisania.

Tłumaczka czyta tekst po polsku. Domyślam się raczej, że to o to chodzi. Proszę, żeby nie czytała. W tej sytuacji to groteskowe. Kaleczy język. „Chińczyk”, tłumacząc koleżankę, mówi:

— Jesteś pierwszym aresztowanym przez nas Polakiem.

— Dobrze mówię po angielsku. Nie podpiszę tego. Żądam kontaktu z polskim konsulem.

— To później. To może zaczekać.

Podpisali oświadczenie sami: na wersji angielskiej SA Linn i SA Smith, na wersji polskiej SA Knight i SA Charron (to ta, pożal się Boże, tłumaczka!).

Smith dzwoni (domyślam się, że do przełożonego) i melduje, że „wejście” jest udane i wszystko jest pod kontrolą. Na zakończenie podaje przez telefon godzinę: 14.58. Przemknęło mi przez myśl, że za godzinę mam samolot, ale to tylko mgnienie. Przecież wiem, że dzisiaj już nigdzie nie polecę.

Wciąż przeszukują mieszkanie. Najpierw robili to chaotycznie, teraz zaczęli systematyczne wyrzucanie wszystkiego z szaf. Niewiele tego było, więc zabrali się do rozpakowywania kartonów. Kątem oka złowiłem wściekle spojrzenie Basi. Pakowała to od ponad tygodnia. Rozglądam się za McCarthy’em. Nie ufam mu. Od samego początku myślę, że ten drań może mi coś podrzucić w trakcie rewizji. Linn widzi, że nie spuszcza wzroku z McCarthy’ego. Obserwuje teraz nas obu. Nie pozwalają mi niczego dotknąć. Mam stać i się nie ruszać. Na moje żądania kontaktu z konsulem odpowiadają niezmiennie: „To później”. W końcu „Chińczyk” zamienia kilka słów ze Smithem i jeszcze jednym agentem (jak się domyślam, dowodzącym akcją) na boku, wraca do mnie i mówi:

— Zbieraj się. Jedziemy.

— Dokąd? — pytam.

— Dowiesz się w swoim czasie.

„Chińczyk” mimo wszystko stara się być miły. Albo raczej: nie stara się być niemiły. Jako jedyny z agentów FBI zachowuje się normalnie, choć jest śmiertelnie poważny. „Jak w filmach” — myślę.

Pozwalają mi założyć koszulę. Ale najpierw dokładnie ją

przeszukują. Ręce do tyłu. Zakładają mi kajdanki. Przed zapięciem jeden z nich dwa albo trzy razy je obraca. Skracają długość łańcuszka. Boli jak cholera. Przez zapięte kajdanki przerzucają moją marynarkę.

— Mogę pożegnać się z żoną?

„Chińczyk” waha się chwilę, ale woła Basię.

Nachylam się do jej ucha:

— Dzwon do konsulatu, powiedz im, co się stało. Wszystko będzie dobrze... Basiu, zobaczysz...

Ma łzy w oczach, tamta agentka stoi przy niej i odciąga ją ode mnie. Całuję ją w policzek, Linn popycha mnie lekko, koniec, nie ma czasu. Odwracam się spod drzwi, chcę spojrzeć na Basię, ale znikła już w pokoju dzieci, SA Smith szturcha mnie mocniej. Skończył się wersal. Pod eskortą do samochodu, na tylne siedzenie. Obok mnie „Chińczyk”, za kierownicą Smith, przy nim SA Frank H. Knight. Ten najwyraźniej mnie nie cierpi, a jego antypatia przekracza profesjonalny wymiar akcji. Ruszamy. O dziwo, bardzo wolno. Nagły spadek obrotów po błyskawicznym aresztowaniu? Po chwili wszystko się wyjaśnia: wzdłuż drogi stoją tylko samochody FBI, a z każdego z nich wysiada kierowca i staje przed autem. No tak, oto chwila chwały nadeszła! Sami sobie oddają honory. Rozkoszują się. Los Angeles. Wyczuwalna bliskość Hollywood! Agentów i samochodów tyle, że można by aresztować pół miasteczka!

Skrócone kajdanki boleśnie wbijają mi się w nadgarstki. Mam wykręcone do tyłu ręce. Pytam „Chińczyka”, czy nie można ich przepiąć do przodu. Natychmiast odwraca się SA Knight:

— To wbrew instrukcji! — syczy wściekle.

Udaję, że nie słyszałem Knighta i ponownie spokojnie zwracam się do Linna:

— Znasz mnie już, czy naprawdę jesteś skłonny pomyśleć, że będę próbował wam uciec z jadącego samochodu? Przecież zdaję sobie sprawę, że jedziemy pod eskortą.

„Chińczyk” chwilę myśli i zgadza się. Ale SA Knight na czas przepięcia kajdanek przykłęka na przednim siedzeniu odwrócony w moją stronę. Lufę opiera na oparciu. Z odbezpieczonej broni mierzy mi między oczy. Od początku akcji

widzę, że jest nerwowy i nieobliczalny. Modlę się, żeby samochód nie podskoczył na jakimś nieoczekiwanym wyboju. Ten świr jest gotów palnąć mi w łeb z byle powodu. Na szczęście Linn szybko załatwia sprawę.

Po chwili jesteśmy na miejscu. Wilshire Boulevard, wiem, że tu mieści się siedziba FBI na Południową Kalifornię. Pod eskortą do windy towarowej. Ruszamy w górę. Knight zdejmuję krawat i zawiązuje mi oczy.

— To na wypadek, gdybyś kiedykolwiek przypadkiem — zatrzymał się z satysfakcją przy tym słowie — gdyby przypadkiem wy dostał się na wolność. Nie będziesz znał rozkładu naszych pomieszczeń.

Przypadkiem. Obiecująca perspektywa. Mimo wszystko bęcwał z niego. Krawat zawiązał mi tak, że przypadkiem wszystko widziałem. Nie tylko rozkład pomieszczeń, ale i pracowników. Niedzielne popołudnie, a tam tłok jak na odprawie. Chcieli mieć wszystkich pod ręką, w gotowości, w ten swój wielki dzień... Gdybym się uparł, mógłbym ich policzyć. Pomieszczenia też. Tak czy siak wiedziałem, że jesteśmy na dwóch ostatnich piętrach budynku. Więc tu mieści się sekcja kontrwywiadowcza FBI.

Wprowadzili mnie do pokoju. Knight zdjął swój krawat z moich oczu. No tak, pokój bez okien, całkowicie pusty. Tylko biurko, stare biurko i równie wiekowy, bakelitowy czarny telefon. Agent Knight zostaje sam na sam ze mną. Barykaduje drzwi krzesłem i siada na nim. Cisza jest nieznośna. Gdyby mógł, wydobywałby ze mnie zeznania wzrokiem. Nie, gdyby mógł, dałby mi w pysk. Albo roztrzaskał mi głowę tym telefonem. Przynajmniej patrzy tak, jakby na to właśnie czekał.

Po chwili zaczyna się nerwowy ruch. Do pokoju wchodzi agenci. Nie bardzo wiem po co, bo prócz biurka i nas dwóch nic tu nie ma. Żadnych papierów. Nic. Więc wchodzi i wychodzi. Zaczynają rozmawiać i milkną. Chyba przypominają sobie, że świetnie mówię po angielsku. Wychodzą. I tak w kółko. Za każdym razem bojowo nastawiony SA Knight musi wstać i odsunąć swoją barykadę. I usiąść. Nie jest mi do śmiechu, ale koniec końców, to jest komiczne.